Nr. 42. We Lwowie dnia 16. Października 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Obecny stan badań

nad genezą państwa polskiego.

W naszej literaturze historycznej i prawno-historycznej nagromadził się szereg prac poważnych, mających na celu rozwiązanie zagadki — wyłonienia się państwa polskiego z pomroki dziejowej. Prace te wyszły z pod pióra profesorów: Wojciechowskiego, Piekosińskiego, Małeckiego, Bobrzyńskiego i Balzera. Prof. Tadeuszowi Wojciechowskiemu przypada w udziale zasługa zapoczątkowania tego rodzaju badań i to za pomocą t. zw. „metody wstecznej“, użytej w słynnej jego „Chrobacji“. Prof. Piekosiński w całym szeregu większych rozpraw postawił i po dziś dzień broni „hypotezy najazdu“. („O powstaniu społeczeństwa polskiego“, „Rycerstwo polskie wieków średnich,“ „Ludność wieśniacza w Polsce piastowskiej“ i i.), mając równie konsekwentnego przeciwnika w nauce — prof. Małeckiego, stanowczego zwolennika teorji o samodzielnem powstaniu państwa Piastów. „Studja heraldyczne“, „Wewnętrzny ustrój w pierwotnej Polsce,“ „Ludność wolna w księdze Henrykowskiej“, „Lechici“ ii.) P. Bobrzyński („Geneza społeczeństwa polskiego“) zajmuje stanowisko poniekąd pośrednie, ale w zasadzie bliższe zapatrywaniom prof. Małeckiego, wreszcie prof. Balzer w krytyce poglądów prof. Piekosińskiego — oświadczył się nietylko za teorją samodzielnego rozwoju polskiego państwa, ale ponadto wciągnął śmiało w dotychczasowy stan badań — wyniki nauk nowych“ t. j. etno- i socjologji, jak to już miałem sposobność podnieść w „Przewodniku naukowym i literackim“ (rb.) Nie mało światła na całą kwestję rzucają rozprawki pomniejsze tego rodzaju, jak prof. Wojciechowskiego „O Piaście i piaście“ i Dr. Potkańskiego: „Kraków przed Piastami“.

Ponieważ — sprawa genezy państwa polskiego jest poniekąd kluczem do zrozumienia dalszej t. zw. społecznej historji Polski — sądzę więc, że może korzystną rzeczą będzie, jeśli w tym krótkim szkicu pokuszę się o zaznajomienie szerszych warstw inteligentnych czytelników z obecnym stanem badań w tym względzie.

W szczegóły wdawać się nie będę, chodzi mi bowiem tutaj o możliwie jasne— popularne poniekąd przedstawienie rzeczy.

W pierwszym rzędzie — uważam za konieczne — wskazać pokrótce na metody, używane w rzeczonych studjach i z góry zaznaczam, że metody te są takie same, jakie wogóle muszą być w historjografji stosowane do czasów t. zw. „przedhistorycznych“, co do których badanie wprost—tj. na podstawie możliwie współczesnych źródeł jest niemożliwem, bo źródła takowe albo wcale nie istnieją, albo są to świadectwa obce i fragmentaryczne. Badając stan społeczny i psychologję ludów niecywilizowanych — zwrócili się pierwsi zaraz socjologowie jako to: Spencer, Morgan, Taylor, Lubbock i i. do skonstatowania żywych faktów, t. j. życia i rozwoju społecznego ludów „dzikich i barbarzyńskich“, obecnie jeszcze istniejących. Doszedłszy tą drogą do bardzo ciekawych i nowych zupełnie poglądów — zaczęli ci sami uczeni porównywać swoje spostrzeżenia z prehistorją ludów cywilizowanych i przekonali się, że analogje tutaj są nie tylko możliwe, ale że faktycznie istnieją w tak wielkim stopniu, że — jak twierdzi angielski socjolog Lubbock: dzisiejszy stan ludów niecywilizowanych jest wiernem odbiciem stosunków przedhistorycznych świata cywilizowanego. Wprawdzie — mamy także i przeciwników takiej metody i teorji, ale i ci nawet, — ograniczają się przeważnie

tylko do kwestjonowania szczegółów. Ponieważ Spencer użył „wstecznej metody“ dla celów nie ściśle prehistorycznych, ale par excellence — socjologicznych, mianowicie do uzasadnienia swej biologicznej teorji w socjologji — otóż cała ta metoda przybrała odtąd cechy — socjologiczne, jakkolwiek mogła i może być z równym pożytkiem stosowaną także w nauce ściśle historycznej. U nas zastosował ją w historji po raz pierwszy prof. Wojciechowski. Dzieło jego p. t. „Chrobacja“ (t. I.) otwiera przed nami zamierzchłe stosunki społeczne w ziemiach polskich i za punkt wyjścia bierze — nazwy wsi i wogóle miejscowości, po dziś dzień istniejące. Wysnute tą drogą poglądy prof. Wojciechowskiego utrzymały się w nauce, acz nie bez modyfikacji, a zupełnie już przyjęła się „wsteczna metoda“ — tego rodzaju badań w historji polskiej. Stosuje ją z znacznem powodzeniem we wszystkich pracach swoich prof. Piekosiński i wprowadza tylko nowość o tyle, że dążąc do odtworzenia polskiej prehistorji — opiera się wprawdzie na źródłach — ale rozumie się znacznie późniejszych, doszukując w nich t. zw. „przeżytków“ prawnych, t. j. śladów zamierzchłych instytucji i urządzeń społecznych w prawie polskiem wieków średnich. Także naukowy przeciwnik prof. P. Małecki idzie tą samą drogą, mniej — co prawda w studjach heraldycznych i nad Lechitami, ale zato prawie zupełnie w odszukiwaniu dawnych wolnych chłopów polskich. Ściślej trzyma się — o ile to wogóle możliwe — źródeł bezpośrednich prof. Bobrzyński, — robi tak samo także i prof. Balzer, ale obaj wcale nie negują „metody wstecznej;“ prof. Balzer zaś wprowadza do niej nowy element, tj. — jak wspomniałem już powyż — analogje socjologiczne; Dr. Potkański zaś także — socjologiczne i czysto etnologiczne, tj. wnioski na podstawie analizy pieśni, podań i legend ludowych. Tak tedy — użyta przez prof. Wojciechowskiego „metoda wsteczna“ — rozszerzona tylko i uzupełniona, jest dzisiaj głównym kluczem w odtworzeniu polskiej prehistorji. a więc i genezy polskiego państwa. Naturalnie jednak, że metoda ta wcale nie wyklucza studjów, opartych na źródłach współczesnych; przeciwnie — sama stara się do nich dotrzeć, ażeby doświadczalnie niejako stwierdzić swe wnioski, co np. Dr. Potkańskiemu wcale dobrze się udaje nawet, w uzasadnieniu analogji etnologicznych, a tem bardziej rozumie się — jego poprzednikom w — analogjach socjologicznych i „przeżytkach“ prawnych. Jeśli nazwiemy wysnuwanie wniosków metodą wsteczną — drogą, prowadzącą do stawiania hypotez w części apriorycznych; badanie zaś ściśle źródłowe — czystą indukcją, otrzymujemy w rezultacie współdziałanie indukcji z dedukcją, — ten główny — logiczny warunek wszelkich metod w badaniach umiejętnych. Metoda tedy, stosowana obecnie w pracach, mających na celu wyjaśnienie polskiej prehistorji, jest wreszcie po długich błądzeniach po manowcach ściśle naukową.

Lelewel opierał się przeważnie tylko na daleko idących uogólnieniach, wysnuwanych drogą analogji; szkoła t. zw. krakowska trzymała się zawsze zasady, że obok tendencji politycznej dzisiejszej — istnieje to tylko, co jest w źródłach; obecnie — bez żadnych formalnych ugód, ale wprost skutkiem naturalnego rozwoju nauki historycznej — dochodzimy wreszcie do tego, że obie te „szkoły“ dochodzą w praktyce badań do wspólnego mianownika i ku bezwarunkowej korzyści dla rozwoju wiedzy i zbadania możliwie objektywnej prawdy dziejowej.

Ale — i najlepsza metoda nie jest w stanie dojść od razu do prawdy, na którąby się wszyscy bez zastrzeżeń zgodzić mogli. Tak samo dzieje się i w badaniach nad genezą państwa polskiego, i w nich mamy ciągle jeszcze nie tylko wiele punktów spornych, ale nawet dwie sporne zasady — „teorję najazdu“ i samodzielnej genezy — bez najazdu. Tę drugą teorję nazwałem już kilkakrotnie w moich szkicach — teorją „odporu“ i walk międzyplemiennych, co w następstwie — raz jeszcze będę się starał — uzasadnić.

Rozpocznę od przedstawienia „teorji najazdu“, o której już wspomniałem, że twórcą jej i obrońcą głównym jest — prof. Piekosiński.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dr. K. J. Gorzycki.

Z Wisły do Izdebnego.

(Dokończenie.)

Wstępu do doliny Kopydła, którą teraz jedziemy, strzegą dwie lesiste góry: wspomniane już Kozińce i Kobyła, taka rosła (802 m.), wspaniała, dzika, że z pewnością nie ujarzmi jej nigdy Niemiec ani Moskal, czyli raczej Mozgol, jak mówią na Wiśle. Nie wiele zagród góralskich spotyka się w tym ślicznym kurytarzu zielonym, milowej mniej więcej długości, ale

i tu, jak w każdej z pięciu głównych dolin gminy wiślańskiej, jest obszerna, pięknie zbudowana szkoła, do której uczęszcza sto kilkadziesiąt dzieci, — są trzy karczmy w ozdobnym stylu, na wysokiem podmurowaniu, przystrojone we wschody zewnętrzne, krytą werandę, „izbeczkę“ na piętrze, i położone nader malowniczo nad potokiem, u stóp gór, na tle ciemnego lasu, — ale...

Za ostatnią karczmą, zwaną „u Halamy“, szosa, która i przedtem szła wciąż w górę, zaczyna podnosić się nagle. Wjeżdżamy na strome zbocze Kubalonki (761 m.) Góra ta dzieli dolinę Wisły od doliny Olszy (Olzy), a zarazem i gminę wiślańską od izdebniańskiej.

Z każdą chwilą wzrok ogarnia szerszy widnokrąg, a w końcu wynurza się z zielonych rąbków i pożegnana niedawno Wisły dolina, w której skupia się teraz światłość nieba. Ślicznie wygląda stąd kolebka domowej naszej rzeki! Matka natura we wszelakie piękności, we wszelakie przystroiła ją powaby. I pieszczotka igra tu w blaskach słonecznych swobodnie, wesoło jakby nie przeczuwając, że w dalszym biegu jasna jej fala ćmić się nieraz będzie dymem pożogi, farbować męczeńską krwią bohaterów, pękać z głośnym płaczem pod ciężarem padających trupów...

Jedziemy dalej.

Im wyżej, tem mroczniej. Las, bezbrzeżny las bierze tu człowieka w swoje władanie. W ciemnej jego głębi czai się duch gór, chłodem owiewa twarze i cichym, ale dobitnym szeptem, — szeptem, który przejmuje dreszczem, mówi o swojej sile, o swojej potędze i grozie. Nie widać tu śladów ludzkiego życia, nie słychać żywego głosu, nawet gędziolenia ptasząt, świerki stoją głuche, nieme, zimne, jak „zaśnięte“ wojsko, tylko potok szumi i z trwogą ucieka w dolinę... Nagle zdziwione oczy dostrzegają chatynkę. Nie pozbawiona wdzięku, jak wszystko, co wychodzi z pod cieślicy[1]) tutejszych górali, wychyla się ona z bujnych paproci, pod olbrzymią ścianą lasu, a sama taka mała, tak śmiesznie mała, jak owe chatki w bajkach, co to na kurzych obracają się łapkach.

Kto w niej może mieszkać?

Nie ludzie, — z pewnością nie ludzie z krwi i ciała, a chyba duchy! Wszak góry, piękna kraina fantazji, i czarów i dziwów, to ich ojczyzna, — wszak i na Wiśle obrały sobie siedlisko duchy w o d o w e, powietrzne i podziemne.



Skała w kształcie warg na Baraniej, z której wytryska Biała Wiselka.

Duchy w o d o w e — to u t o p c e. Utopiec „choć za co może się ubrać“, ale najczęściej zjawia się w południe na gaci, jako baran ze świecącemi rogami. Ukaże się na mgnienie oka, a potem „hup do wody i niema nic“. Uwodzi on ludzi rozmaitemi sposobami. Niekiedy zabarwia wodę na czerwono, jakby krwią, i człowieka, który przychodzi d z i w a ć s i e[1]) na nią, wciąga w p l o s o[2]). Niekiedy znowu przybiera postać „obstareżnego chłopieczka w zielonych szatach i z niepozdania[3]) postawi sie na oczi furmanowi w jakiem odludnem miejscu i nęci go, i wabi: „pój do wody, pój do wody“, aż wciągnie w głębinę. W rzadkich wypadkach używa gwałtu: Pewien pachołek na prośbę

---

[1]) Siekiery.

[1]) patrzeć. [2]) głębinę. [3]) nagle, nieoczekiwanie.

utopca wiózł go na swoim wozie, nie wiedząc z kim ma do czynienia, a potem nie przyjął zapłaty. Wtedy utopiec powiedział mu, że w nagrodę zobaczy, jak on będzie brał furmana, który pławił opodal w rzece parę koni. Jakoż pachołek widział rzeczywiście cały przebieg walki: widział, jak konie, pasując się z utopcem, wypływały kilkakrotnie na powierzchnię wody, aż poszły na dno. Inni tymczasem świadkowie tej sceny, nie dostrzegając wcale utopca, sądzili w swej naiwności, że to tylko bystry prąd wody unosił biedne zwierzęta.

Utopiec nie ma złej fanty[1]), owszem miłuje ludzi, ale uwodzić ich w wodę musi, choć mu luto[2]), bo takie już jego przeznaczenie...

O draku[3]) natomiast, duchu powietrznym, nie można tego powiedzieć. Ten rad szkodzi ludziom i jak szkodzi! Drak przebywa najczęściej w jarugach[4]), bo pali go postrzodku, więc chłodzić się musi. Silny i groźny, drak słucha jedynie czarnoksiężnika, który ma lepszy od niego rozum.



Zbiorniki wody na południowem zboczu Baraniej, z których wypływa Czarna Wisełka.

Czarnoksiężnik nie zwraca uwagi swą powierzchownością: Wygląda jak człowiek dolski[5]), ubierający się w długi kabat, tyle tylko, że czyta w książce, drukowanej białemi literami na czarnym papierze i nosi zawsze uzdę na draka, owiniętą wokoło lewej ręki. Zagląda niekiedy do mieszkań ludzkich, niby jaki wandrowny i pyta[6]) gazdzinki o wajca[7]) od czornych kur, albo mliko od czornych krów. Chętniej jednak odwiedza koliby pasterskie w górach na sałaszach i prosi owczarzy o kwaretkę mleka od czarnej owcy lub czarnej krowy. A gdy spotka go odmowa, wówczas mści się w straszliwy sposób. Przywołuje draka, zarzuca mu uzdę na głowę, dosiada go i wzbijają się razem „ponad drzewa stojące, poniżej chmur płynących“. Gdy nad lasami lecą, powstają stąd ulichy[1]) i wiatry gwałtowne, które krocą[2]) smereki i budynki przewracają na ręby. Gdy nad polami mkną, wówczas strzygą krupy[3]), co i świata bożego nie widać...

Lecz i zły czarnoksiężnik umie dobrem odpłacać za dobre. Pewnego owczarza, Jana Grenię z Breńskiej Malinki[4] który nie żałował mu społecznego[5]) mleka z południowego udoju od czarnych owiec i krów, zabrał ze sobą na draka, okrył mu twarz szlafmycą, aby go szybki prąd powietrza nie udusił, i zawiózł do Francji. Pokazał mu tam wiele dziwów i takowną wieżę spaniałą, wyższą od najwyższych gór, uczcił go obiadem, z akiel zgrzany drak chłodził się w jarudze, a potem odwiózł całego i zdrowego z powrotem na sałasz. A cała wycieczka trwała tyle, co zwykła południowa drzemka owczarza, to też Grenia mógł i tego dnia, jak zwy-

[1]) natury. [2]) żal. [3]) smok. [4]) trzęsawiskach. [5]) z dolin. [6]) prosi. [7]) jajka.

[1]) Ulewy. [2]) Wyrywają z korzeniem. [3]) Grad. [4]) Wisła graniczy na północny wschód z gminą Brenną, której jedna dzielnica nazywa się Breńską Malinką dla odróżnienia od Malinki wiślańskiej. [5]) Świeżo udojonego.

kle, własnoręcznie wypędzić o drugiej godzinie owce z koszaru na pasionek. Tak rączym rumakiem jest ów drak straszliwy[1])...

Podziemnymi nakoniec duchami są nocznice, czyli bandurki. — Widzieć je można w ćmawe noce na młakach[2]), gdy wyskakują z pod ziemi w postaci białkawych ogni. Nocznice — to lekkie, wesołe duchy. Igrają przez całą noc z wiatru powiewem, zataczając w powietrzu taneczne kręgi, to skupiają się, to pierzchają pod ściany lasu, jakby zdjęte nagłą ku sobie niechęcią, to przypadają do ziemi, aby znowu wybuchnąć A gdy człowieka zoczą, wnet pustoty przychodzą im do głowy. Lecą ku niemu, bzykając z radości, wabią na manowce, ukazują nieistniejące drogi i wołają, jedna przed drugą: „Tu je piękny chodniczek[3]), tu je piękny chodniczek!“ — aż zawiodą w barzynę[4]), w ciernie i tam puszczają wodze swej wesołości: chichocą, tańczą, łechcą zwiedzionego biedaka, szczypią go, drapią, drepszą po nim, smykają go nieraz przez całą noc.

Psotne bandurki, choć i nie bardzo szkodliwe, dają się Wiślanom dobrze we znaki. Ileż to razy zacny jaki gazda, wracający o północku do domu z którejkolwiek z trzynastu karczem

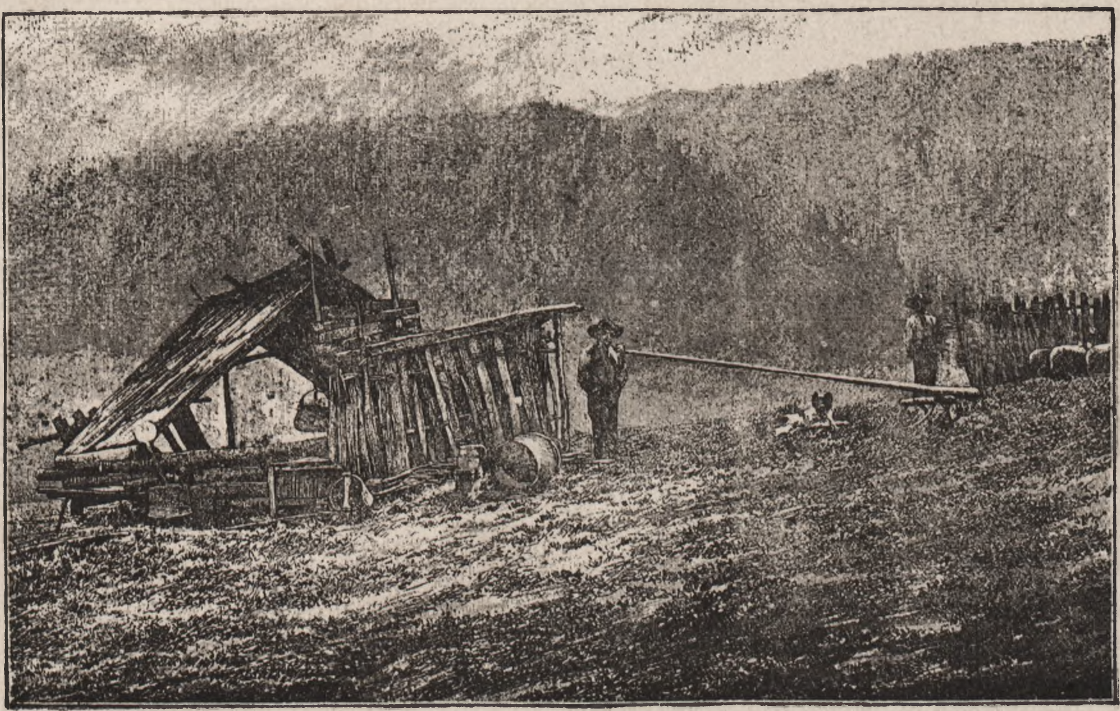
[1]) Z opowiadań Pawła Cieślara z Krzysztówki, zamieszkałego obecnie pod 475 nr., zdolnego gawędziarza, niewyczerpanego bajkarza.
[2]) Wilgotnych łąkach. [3]) ścieżka. [4]) w trzęsawisko.

wiślańskich, bywa przez nich napastowany! — Nie tak oto dawno miał z niemi przeprawę Kaifasz z Kozińców, gdy wracał późną porą z pogrzebu, po dobrym, ma się rozumieć, poczęstunku. Idzie przez las i widzi migotliwe światełka na młace. „Chwałaż Bogu — prawi sam do siebie — to moi chłopcy przedchodzą!“ Mylił się: nie synowie szli z latarniami na jego spotkanie, ino bandurki leciały ku niemu. I dalej-że bzykać, a wołać, a kludzić pod cestę[1]). Uż go skludziły parę kroków, gdy na szczęście opamiętał się i jął bronić wielokrotnie wypróbowanemi środkami: zaintonował na cały głos pobożną pieśń, przewrócił czapkę na ręby[2]), owinął się w gunię tak szczelnie, by nie widać było ani kawałka gołego ciała, położył się na ziemię i oddech zaparł w piersi, aby nie poczuły[3]) go oddychać. Jakoż rzeczywiście wnet go popuściły[4]).

...Któreż więc z owych duchów wodnych, powietrznych i podziemnych zamieszkują chatkę tajemniczą, w zaśnionym lesie położoną?... Lotne nocznice — bandurki, utopiec, czy może drak?...

— A wiedzom ku czemu służi ta chałupeczka? — przerywa mi wątek myśli nagłem

[1]) Sprowadzić pod drogę (wysoką, górską). [2]) Na złą stronę. [3]) Usłyszały. [4]) Z opowiadań Jury Martynka z Piły (tartaku), młodego, roztropnego chłopaka, którego ojciec należy do najporządniejszych gazdów wiślańskich, a nawet — co nie często tam się zdarza — posyłał starszego syna do średniej szkoły w Bielsku.



Koliba, przed nią owczarz z trąbą, na której pasterze górscy przepięknie wygrywają tęskne swoje melodje, — dalej koszar z owcami.



Wodospady Białej Wisełki.

pytaniem mój towarzysz podróży, dzielny Izdebnianin, Jan Skurzok, z którym nie pierwszy i nie dziesiąty raz jeździmy po górskich drogach.

— Nie, nie wiem.

— Wąglarze palom haw w tych lasach wągle i chowajom w niej swój rząd[1]) — objaśnia grzecznie Skurzok.

„Więc było po uroku, po czarach, po dziwie.“...

. . . .

Jesteśmy na szczycie Kubalonki, na linji granicznej, — w gnieździe wysokich g r o n i ó w, ale dość jeszcze daleko od najwyższej — Baraniej, w której lasach leżą źródła obu Wisełek i szumią perłowe wodospady Białej Wisełki. Dotarłszy do punktu najwyżej położonego, zaczynamy się zniżać. Tak zawsze bywa. Wózek stacza się teraz z pochyłości lekko i żwawo, to też zielona kurtyna lasów cofa się niebawem wstecz i odsłania bajeczne widoki na Karpaty węgierskie i polskie, tudzież na Beskidy śląskie, położone nad doliną Olszy, głównej żyły wodnej Księstwa Cieszyńskiego.

Chwila — a ujrzymy i cel podróży, Złoty groń, u którego siedlą się Izdebnianie, lud rosły, piękny, oświecony, — dzielnego ducha, złotego serca....

M. Wysłouchowa.

LILI.

ŻAŁOŚNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

Pił likier jakiś, palił cygaro, pił czarną kawę, przyrządzoną przez doktorową, która mu półgłosem dawała życzliwe rady, płynące z macierzyńskiego serca, żeby rzucił teatr i powrócił do domu, i gdy jej w rozrzewnieniu likierowem powiedział, że zrobi to za dni kilka, to nietylko że go po matczynemu ucałowała i przytuliła do wezbranej radością piersi, ale i ofiarowała gościnę u siebie na czas dłuższy, aby mógł przyjść do równowagi, co go tak rozrzewniło, że całował przez kilka minut jej piękne białe ręce, a potem, powróciwszy do salonu, do panien, pił znowu likier z doktorem i patrzył bezmyślnie na blondynkę, która rozłożyła przed nim album i pokazywała różne chwały rodzinne.

[1]) Narzędzia, sprzęty.

Nie wiedział dobrze, co się z nim dzieje; rozmarzyło go ciepło, likiery i ten ból, który, pomimo wszystkiego, przeorywał mu serce. — Czasem bezwiednie spoglądał na zegarek, ale wtedy panny zaklinały go, aby pozostał; więc siedział, starając się być najprzyjemniejszym towarzyszem i odpowiadając ze szczerością na życzliwe zapytania doktora, tyczące się jego rodziców, majątku i t. p.

— Musi mi pan w pewnej sprawie pomódz! — zaczęła doktorowa, ujmując go pod ramię i prowadząc znowu do drugiego pokoju, w którym na wielkim stole leżało kilkanaście mniejszych i większych paczek.

— Z inicjatywy moich dziewczynek grono osób zrobiło małą składkę na rzecz pańskich towarzyszów. Niema w tem nic ubliżającego. Są w chwilowej potrzebie, więc złożyłyśmy tutaj najpotrzebniejsze dla nich rzeczy. A że nie chcemy żadnych podziękowań, przykrzejszych co prawda dla nas, niż dla nich, więc posyłamy bezimiennie. Dla każdego w osobnej paczce. Biedni, doprawdy, ludzie! Opowiadano nam o nich bardzo smutne rzeczy.

Zakrzewski ocknął się dopiero i śpiesznie oglądał kartki z nazwiskami, poprzylepianemi do paczek. Odetchnął głęboko, bo swojego nie znalazł; ale nazwisko Lili, które ujrzał na mniejszej od innych paczce, przykuło mu oczy dłużej.

— Tej pannie posyłam trochę mniej! — zauważyła doktorowa z dyskretnym uśmiechem.

Spojrzał na nią pytająco, nie śmiejąc się odezwać.

— Bo, podobno... ktoś się nią opiekuje dosyć gorliwie, więc musi jej na niczem nie zbywać. Te panie umieją sobie radzić! — wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Pani dobrze wie, że się nią kto opiekuje? — zapytał cicho, tak cicho i złowrogo, że doktorowa spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Przecież to powszechnie wiadomo, że hrabia!... Chodźmy do salonu.

Ale się odsunął gwałtownie, twarz mu pobladła z silnego wzruszenia, całą siłę woli zużywał na to, żeby nie uderzyć doktorowej krzesłem, którego poręczy trzymał się kurczowo. Wreszcie przez zaciśnięte zęby syknął:

— Pani!

Skłonił się i sztywno szedł ku drzwiom, ubrał się szybko w przedpokoju i zanim ona mogła zrozumieć, co się stało, był już na ulicy i biegł do Lili.

Jeszcze nie przyjechała.

Wrócił do domu. Olkowski leżał na sienniku i błędnemi oczami patrzył w sufit. Usta miał spieczone, twarz zielonawą i zdaleka już ziónął gorączką.

— Chory jestem. Daj mi pan pić. Tak mnie głowa boli... boli... boli... — jęczał cicho.

Łzy płynęły mu po twarzy, nie obcierał ich, bo nie miał sił.

Zakrzewski podał szklankę wody, a że Olkowski ciągle się dopraszał o więcej, postawił mu całą konewkę, z której chory pił ustawicznie, a sam położył się na łóżku i najregularniej co godzinę wychodził zobaczyć, czy Lili przyjechała. Nie zastawszy jej, powracał, kładł się znowu i czekał...

Powróciwszy o zmroku, zastał Szałkowskiego, który był jakoś mocno wzburzony i nie witając się, zaczął z miejsca:

— Ja mam do pana wielki żal, mogę powiedzieć pretensję, powinienbym nawet żądać satysfakcji — mówił podniesionym głosem, stukając kijem w podłogę.

— Cicho pan bądź, widzisz, że Olkowski chory — rzekł Leon zimno.

Przypuszczał, że Szałkowski widział wczoraj wszystko i przyszedł robić awanturę, ale było mu to obojętnem w tej chwili; położył się na łóżku i patrzył w sufit.

— Przepraszam, bardzo przepraszam — szepnął Szałkowski, zniżając głos.

— Słucham pana! Mogę panu dać satysfakcją choćby w tej chwili.

— Ale cóż znowu! Panie Leonie, ja przyszedłem tak po przyjacielsku się poskarżyć, bo mam do pana żal, że pan Helence zrobił taką wielką przykrość wczoraj. Obiecał pan, że pan przyjdzie; czekała prawie do rana, a pan był u Korniszona. To się nie godzi tak zapominać przyjaciół. Helenka aż płakała ze zmartwienia, ona ma dla pana wiele życzliwości, wiele, jakby to powiedzieć, sympatji... i bardzo...

— Głupiec — rzucił mu na odpowiedź Leon, wychodząc.

Nie wrócił zaraz, bo poszedł na drogę, którą wracać miały; zrobił kilka wiorst napróżno i dopiero powrócił, przysięgając sobie, że już więcej nie pójdzie.

Podczas jego nieobecności przyniesiono paczkę dla Olkowskiego, a dla niego list od doktorowej, w którym były takie ustępy: „Chciałabym być siostrą miłosierdzia dla pańskiej duszy chciałabym, abyś się wyspowiadał przede mną! O, proszę wierzyć, że bardzo mocno uczułam pańskie wyjście... Co to było?... Biedna dusza, potrzeba ją otoczyć miłością, aby mogła zapomnieć ran... Nie pamiętamy już przykrości, jaką pan nam wyrządził, odchodząc bez pożegnania. Na pańską intencję smażymy dzisiaj pączki; dziewczynki moje same to robią. Będą wieczorem i Walewscy“ itd.

List podarł.

— Idjotka!... — mruknął i zapadł w dawne wiry marzeń bolesnych o Lili.

Olkowski zaś pomimo gorączki z ciekawością otworzył paczkę; była w niej herbata, cukier, tytuń, gilzy, wędliny, chleb, strucel z makiem, dwie koszule, trochę innej bielizny i dwa

ruble. Obejrzał to wszystko, porozkładał na kołdrze i cichym, przejmującym głosem zaczął się śmiać.

Brzmiał ów śmiech tak ostro i bezprzytomnie, że aż Leon spojrzał na niego i patrzył ze zdumieniem, bo Olkowski temi przysłanemi rzeczami zaczął rzucać w ścianę przeciwległą, rozbijać o piec, tłuc o sprzęty... Mało mu było tego, bo się zwlókł z barłogu, i w koszuli, chudy jak szkielet, z oczami nieprzytomnemi, chwiejący się, darł, kopał, miażdżył i rozdzierał to wszystko, co mu przysłano.

Wyczerpany wreszcie z sił, upadł na środek pokoju, śmiał się i krzyczał naprzemian ogromnym, nieprzytomnym głosem.

Zakrzewski siłą go zaprowadził na barłóg, ułożył, pookrywał; leżał przez chwilę spokojnie, ale że choroba robiła zastraszające postępy, stracił zupełnie przytomność i zaczął się zrywać, chciał uciekać z krzykiem, to rzucał się do okna, aby wyskoczyć, tłukł i rozbijał się o podłogę, darł koszulę albo leżał cicho, bezwładnie, jak drzewo i jęczał ciężko, z oczami, utkwionemi nieruchomo w jeden punkt.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z pism i książek.

A. Kraushar. „Burboni na wygnaniu w Mitawie i Warszawie," szkic historyczny. Warszawa 1899 in 8-o, str. 233. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Dzieło to, drukowane pierwotnie w „Tygodniku Illustrowanym", łączy w sobie przymioty historji i powieści: poucza i jest niezmiernie zajmujące. Najświeższą pracę p. Kraushara zdobią liczne illustracje osób, miejscowości, gmachów, zamków, pałaców, według obrazów i rycin z galerji krajowych, zagranicznych, oraz prywatnych zbiorów.

Zeszyt 20 „Obrazu literatury polskiej w streszczeniu i celniejszych wyjątkach", ułożonego przez Piotra Chmielowskiego, opuścił prasę. W zeszycie tym mieszczą się wyjątki z pism Bolesława Prusa, Aleksandra Świętochowskiego, Józefa Blizińskiego, Walerjana Kalinki, Józefa Szujskiego, Antoniego Małeckiego, Kazimierza Kaszewskiego, Stanisława Tarnowskiego i Henryka Struwego.

Národnie Noviny, pismo słowackie, wychodzące w Św. Marcinie Turczańskim, drukują w streszczonym przekładzie znaną naszym czytelnikom pracę A. Sygietyńskiego: „Święty Marcin Turczański" Zaznaczamy przy tej sposobności, że drugą część tej pracy, którą Szan. Autor uzupełnił i wykończył specjalnie dla naszego pisma, podamy wkrótce w odcinku „Kurjera Lwow."

„Bibljoteka dzieł wyborowych", przekroczyła już 50 tomów.

Ostatnio ukazały się w niej utwory: „Nowe dziedziny widma" przez Wiktora Biernackiego, „Książę Srebrny" przez Aleksego Tołstoja, „Beniowski" przez Juljusza Słowackiego, „Stella" i „Tarłówna" przez Adama Krechowieckiego, oraz „Syberja i znaczenie wielkiej kolei syberyjskiej" przez G. Krahmera.

Dzieło to, opracowane z sumiennością niemiecką podług opisów W. Kowalewskiego, P. Semenowa, Wenjukowa, Habenichta i Domanna, zasługuje na uwagę w chwili obecnej, kiedy wielka kraina północna staje otworem dla przedsiębiorczości europejskiej.

Najnowszem wreszcie dziełem „Bibljoteki dzieł wyborowych", są „Dzieje narodu polskiego", wyłożone dostępnie na podstawie ostatnich badań naukowych i poprzedzone przedmową p. Władysława Smoleńskiego.

Książki tej wyszedł tom I., zaopatrzony w pięć krajobrazów dawnej Polski.

Il Pensiero Slavo („Myśl słowiańska"), tygodniowe pismo, które od lat dziesięciu wychodziło w Tryeście w języku włoskim, drukować się odtąd będzie po francusku. Pierwszy numer p. t. „La pensée Slave" opuścił już prasę. We wstępnym artykule redakcja zaznacza, że pismo będzie i nadal walczyło o odzyskanie utraconych przez ludy słowiańskie praw historycznych i narodowych.

Niestety! z artykułów „Myśli słowiańskiej" wyziera moskalofilizm i to najlichszego gatunku, bo carski. W jednym z nich czytamy naprzykład, że wszystkie narody słowiańskie uznają potrzebę idealnego braterstwa, a jako skuteczny środek, prowadzący do celu, uważają — język rosyjski. (!)

„Myśl" poświęca dalej dwie trzecie kroniki sprawom moskiewskim i sławieniu cara za różdżkę oliwną pokoju, którą ten podaje światu. A w 14-szpaltowym fejletonie opowiada z rozczuleniem o małżeństwie Aleksego, ojca Piotra wielkiego, z poddaną, Natalją Naryszkin, nazywając stale tę ostatnią Nariszin. Bohaterowie owego „historycznego" opowiadania: Car Aleksy, Natalja i jej opiekunowie, czują, mówią i działają, jakby się wzorowali na poezji romantycznej. I to w barbarzyńskiej Rosji, przed Piotrem wielkim!

Les Annales politiques et littéraires, tygodnik paryski, przynosi w ostatnim numerze interview jednego ze swych współpracowników ze sławnym naszym artystą-śpiewakiem, Janem Reszką. Wyjmujemy zeń bardziej mówiące pytania i odpowiedzi.

Gdzie spędzasz pan wakacje? Nad brzegiem morza? W górach? W lasach? W mieście? W Paryżu?	W Polsce, na wsi u siostry.
Co pana skłania do tego wyboru?	Włożyłem wszystkie kapitały w ziemię i uwielbiam moją Ojczyznę.
Jakim zatrudnieniom pan się tam oddajesz?	Dolce far niente.
Jakie uprawiasz ćwiczenia fizyczne?	Konną jazdę, polowanie, grę w tennis.
Unikasz pan ludzi, czy też poszukujesz ich towarzystwa?	Nie szukam ich nigdy, ale też i nie unikam.
Uprawiasz pan tam flirt?	Tempi passati.
Myślisz pan o teatrze?	Niestety, przez cały czas.
Nudzi się panu zdala od desek teatralnych?	Tak i nie.
Czytasz pan wiele?	Gazety — co dnia.
Jakie?	Warszawskie, Figaro, Jockey.
Jakiego rodzaju role przenosisz pan nad inne?	Mistyczne.
Którego z kompozytorów muzycznych lubisz pan najbardziej?	Wybór jest niepodobieństwem. Żywię miłość i podziw dla kilku z nich w równym stopniu, chociaż z różnych powodów.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie, Akademicka 16.